

WIECZORY RODZANNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

23

Pogadanki o sztukach pięknych.

(Dokończenie).

Starożytni pisarze wyliczają wiele nazwisk znakomitych rzeźbiarzy, ale ponieważ w tych czasach nie było zwyczaju, aby artysta podpisywał się na swoich dziełach, więc rzadko kiedy i tylko z domysłów wiedzieć możemy, czyjego dłuta są odszukane w różnych okolicach Grecji szacowne zabytki.

Samijczyk Teodor, jak niesie podanie, miał wynaleźć sposób odlewania posągów spiżowych, a Bupalus z wyspy Chio jeden z pierwszych zaczął używać do rzeźby białego marmuru, zamiast drzewa. Około roku 500 przed Chrystusem wstąpił się w mieście Argos rzeźbiarz Ageladas, nie tyle własnymi dziełami, ile tém, że był nauczycielem trzech znakomitych mistrzów greckich, Myrona, Polycleta i wielkiego Fidyasa, o którym już wspominaliśmy w historii rzeźby, on to bowiem kierował robotami przy odbudowaniu Aten po wojnie z Persami, on był głównym twórcą wspaniałej świątyni Partenonu.

Spróbujemy teraz dać wam niejakie wyobrażenie o najsłynniejszych arcydziełach greckiej rzeźby, które znamy, czy to z opisów starożytnych pisarzy, czy to z pozostałych szczątków. Na początku naszego stulecia kilku uczonych niemieckich, zwiedzając wyspę Eginę, odkryło tam na wpół zagrzebane pod ziemią niezmiernie cenne i ciekawe rzeźby, które obecnie znajdują się w zbiorach królów bawarskich w Monachium. Są to posągi marmurowe, które jak łatwo odgadnąć z układu figur, zdobiły fronton czyli szczyt świątyni.

Wspaniała ta świątynia, jak wiadomo z opisów, poświęcona była Jowiszowi *panhelleńskiemu*, to jest bóstwu wszystkich Hellenów połączonych.

Ponieważ różne plemiona Hellenów ustawicznie z sobą wiodły zatargi, a dopiero w czasie wojen perskich zjednoczyły się i zgodnie występowały przeciw wspólnemu wrogowi, łatwo więc z nazwy tej wnosić można, że świątynia ta wzniesiona była już po odparciu Persów, a zatém nie wcześniej jak na kilkadziesiąt lat przed odbudowaniem Aten i Partenonu. Że jednak niezawodnie dawniejszą być musiała, to widać wyraźnie z owych rzeźb, które mają cechy wielkiej starożytności.

Jeden posąg największy wyobraża boginię Minerwę, dwa mniejsze jakieś podrzędne boginki, reszta zaś postaci walczących wojowników; upatrują w nich bohaterów wojny trojańskiej. Sam Jowisz musiał być we wnętrzu świątyni umieszczony i zapewne uległ zupełnemu zniszczeniu. Zabytki te przedstawiają w całej okazałości styl dorycki; figury atletów są widocznie z natury robione, wyborne oddają gwałtowne ruchy prawdziwych ludzi, mają w sobie wiele siły i dowodzą niepospolitej wprawy rzeźbiarzy. Dziwnie też bardzo przy tych ciałach, tak pełnych życia i prawdy, odbijają głowy.

Wszystkie są podobne do siebie, martwe, bez wyrazu, zwycięzcy i zwyciężeni jednakowo się uśmiechają głupowato, jak lalki.

Uczeni ludzie ciekawcy ztąd niezmiernie wyprawdzają wniosek; powiadają więc, że owi artyści rozpoczęli dopiero zapewne nowy okres sztuki; od bóstw sztywnych, lalkowatych, na jeden model robionych, przechodzili do samodzielnych utworów,



Niobe.

wykonanych według wzorów branych z natury. Musieli już próbować sił na wizerunkach żyjących ludzi, atletów prawdziwych i przedstawiając bohaterów pieśni lub mitologii, nadali im ciała podobne, pełne życia i prawdy, ale do wykonania głów w takiż sam sposób zabrakło im zapewne wprawy lub śmiałości i głowy te dorobili po dawnemu. Tak zwykle każda nowość, każdy postęp, wchodzi w życie powoli, a nim się ludzie do niej przyzwyczajają, starają się dawne nawyki połączyć z nowymi.

Na wszystkich tych posągach odszukano ślady farb i ozdób metalowych, zapewne więc starożytni rzeźbiarze greccy upiększali swoje dzieła różnobarwnym malowidłem; nawet i w późniejszych ozdoby tego rodzaju były po trochu używane.

W V-ym wieku przed Chrystusem posiadała już Grecya wielu rzeźbiarzy znakomych i sławnych, którzy się przynosili z miasta do miasta i zdobili wspaniałymi posągami świątynie i gmachy publiczne. Myron, rodem z Attyki, odznaczał się wybornym naśladowaniem natury, robił też często figury zwierząt, a pisarze współcześni z poetycznym zapalem sławili jego dzieła, zwłaszcza krówkę spiżową, która mu się szczególnie dobrze udała. Oto próbka tych pochwał, zapisanych w różnych sielankowych utworach: „Pasterzu, uchodź ze swoją trzodą, bo krówka Myrona gotowa się przyłączyć do żywego bydelka“.

„To nie Myron wyrzeźbił tę krowę, to czas zamienił żyjące zwierzę w metal, a on w nas wmawia, że to jego dzieło“.

Polyklet, żyjący o kilka lat później, pochodził z Sycyony, lecz zamieszkał w mieście Argos, gdzie równie jak Myron uczył się od rzeźbiarza Ageladesa. Polyklet celował szczególnie w doskonałym wykończeniu postaci ludzkiej, umiejętnie bardzo odmierzał proporcey wszystkich części ciała i twarzy, jeden z jego posągów przezwany był *kanonem*, co znaczy prawo, reguła, uważano go bowiem za wzór najdoskonalszy i wszyscy rzeźbiarze starali się stosować do zachowanych w nim proporcji.

W tym samym czasie żył w Atenach Fidyasz, także uczeń tegoż samego Ageladesa, a ten przeszedł wszystkich swoich poprzedników i współczesnych mistrzów. Fidyasz nie poprzestawał już na wiernym naśladowaniu natury, ale starał się posągom swoim nadać pięknosć idealną. To też o nim i o Polyklecie krążyło takie zdanie w całej Grecyi, że Polyklet lepiej robił wizerunki ludzi żyjących, a Fidyasz biegłym był w wykonaniu posągów bóstw.

Wspominaliśmy już parę razy, że wielki ten rzeźbiarz kierował robotami przy odbudowaniu Aten. Wykonał on dwa przepyszne posągi Mi-

nerwy, czyli Pallas-Ateny, opiekunki miasta; na nieszczęście arcydzieła te zginęły bez wieści i tylko z opisów je znamy. Jeden z tych posągów był spiżowy, olbrzymich rozmiarów, stał na szczycie wysokiej skały u wejścia Akropolu, to jest twierdzy ateńskiej. Bogini miała jak zwykle hełm na głowie i włócznię w prawej ręce, lewą trzymała tarczę. Żeglarze, przybijając do przylądka Sunium, odległego o kilka mil od Aten, spostrzegali koniec włóczni Pallady i wierzchołek jej hełmu.

Jak niesie podanie, dzikie hordy Alaryka tak się przelekły tego widoku, że nie śmiały się zbliżyć do miasta, które tym razem ocalało z tego powodu. Druga Minerwa, zrobiona z kości słoniowej i złota, stała w wewnętrznym przybytku Partenonu. Posągi podobne, nie tak trwałe jak spiżowe i kamienne, musiały być od czasu do czasu namaszczone oliwą, aby nie wysychały i nie pękały.

Ateńczycy niewdzięcznością odplacili się Fidyaszowi; spotwarzony, prześladowany, wygnany był z rodzinnego miasta. Mistrz schronił się do miasta Olimpij w Elidzie i tam wykonał do świątyni Jowisza przepyszny posąg tego bożka, także z kości słoniowej i złota. Ten Jowisz olimpijski uważany był przez starożytnych za największe arcydzieło sztuki. Podanie niesie, że Fidyasz po ukończeniu zapytał gromowładnego bożka, czy zadowolony jest ze swego wizerunku. Jowisz odpowiedział natychmiast gromem, który padł na kamienną podłogę świątyni.

Fidyasz miał wielu uczniów, którzy go naśladowali i starali się iść w jego ślady, ztąd powstała szkoła ateńskich rzeźbiarzy, czyli szkoła Fidyasza. Pomiędzy licznymi posągami i szczątkami rzeźb, odnalezionymi w Grecyi, znawcy umieją rozróżnić dzieła do tej szkoły należące, chociaż niepodobna odgadnąć, czy które z nich są robotą samego Fidyasza, czy też jego uczniów. We wszystkich tych rzeźbach i posągach, przedstawiających bóstwa, główną cechą jest wielki spokój. Według religijnego pojęcia Greków, bóstwo nie pracuje, nie zna wysilenia ani znużenia, pozostaje więc ustawicznie w stanie spoczynku. Wprawdzie w mitologii greckiej bogowie nieraz zstępowali na ziemię, walczyli, kłócili się nawet, jak prości śmiertelnicy, ale to już były bajeczki, w które zapewne gmin tylko wierzył. Pojęcie potęgi i mocy nie zgadza się z żadnym niepokojem lub namiętnością, i rzeźbiarze zawsze wyobrażali bóstwa pełne majestatu, z obliczem pogodnym i spokojnym. Wizerunki atletów wybitnie się wyróżniały ruchliwością całego układu ciała, wysileniem członków i wyrazem twarzy, w którym drgały uczucia gwałtowne. Widać ztąd, jak wysoko wykształcony był

smak Greków i poczucie ich artystyczne, skoro takie różnice ocenić i oddać umieli.

Świątynia Partenonu i na zewnątrz ozdobiona była wspaniale. Rzeźby marmurowe pokrywały frontony i fryzy ponad rzędami kolumn. Wszystko to wykonane było przez uczniów Fidyasa, a i mistrz sam zapewne do wielu ważniejszych robót przyłożył rękę.

Przy końcu XVIII wieku poseł angielski w Konstantynopolu, lord Elgin, zwiedzając zwaliska Aten, zastał tam jeszcze bardzo wiele tych rzeźb na murach Partenonu; on to podrywał płyty marmurowe, zagarnął je wszystkie i przewiózł do Anglii, gdzie obecnie są najbogatszą ozdobą muzeum starożytności.

Oba frontony, czyli szczyty, przedstawiały sceny mitologiczne: jeden przyjscie na świat bogini Minerwy, która w pełnym uzbrojeniu wyszła z czoła Jowiszowego, w obecności wszystkich bogów Olimpu; drugi znów spór jej z bożkiem Neptunem o zaszczyt nadania nazwy Atenom. Niestety! z tych frontonów nic prawie nie pozostało, oprócz szczątków pogruchotanych, z których niepodobna rozpoznać ani jednej całej postaci.

Lepiej się zachowały płyty marmurowe, tworzące fryzy ponad kolumnadami zewnętrznymi i wewnętrznymi świątyni. Są to płaskorzeźby i wypuklorzeźby, wykonane na tle zabarwionem na czerwono lub błękitno, wyobrażają rozmaite bóstwa, walki Ateńczyków z Centaurami, pod wodzą Tezeusza i Panateneje; tak nazywano jedną z najważniejszych uroczystości na cześć Minerwy; był to pochód dziewic, które niosły w ofierze dla bogini nową zasłonę, czyli peplum. Za dziewczycami postępował lud cały, niewiasty, mężowie, wozy, jeźdźcy i piesi.

Te szczątki połamane, zniszczone, dostateczne jednak dają wyobrażenie o wspaniałości całego gmachu. Było to arcydzieło sztuki greckiej, która za czasów Peryklesa i Fidyasa doszła w Atenach do szczytu wielkości i chwały. Od tego czasu zaczęła chylić się do upadku.

Po ukończeniu wojen Peloponezskich, w IV-tym wieku przed Chrystusem, powstała nowa szkoła rzeźbiarzy w Atenach, na czele jej stali dwaj mistrze znakomici, Skopas i Praksyteles, ci jednak nie dorównali już wielkiemu Fidyasowi i dzieła ich mniej są przez znawców cenione od dawniejszych. Wszystkie rzeźby z tego okresu pochodzące odznaczają się miękkością kształtów, wdziękiem, w twarzach jest więcej wyrazu i uczucia, ale za to mniej mają siły i wspaniałości.

Skopas, nie umiejąc czy nie chcąc oddać majestatu i powagi wielkich bóstw takich, jak Jowisz i Minerwa, ze szczególnym zamiłowaniem robił

posągi Bachusa, Wenery, Apolla, i różnych bóstw podrzędnych, dla których najwłaściwsze są kształty wdzięczne lecz wątłe. Zarzucił zupełnie spiż, który się nadaje lepiej do okazalszych figur i używał tylko białego marmuru.

Praksyteles także najczęściej rzeźbił piękną Wenere i synka jej, małego Amorka, czyli Kupidynka, w różnych wdzięcznych, miłutkich postaciach. Z tego okresu sztuki przechowało się wiele zabytków większych i mniejszych rozmiarów, do najslawniejszych należą przesliczne posągi marmurowe, przedstawiające śmierć dzieci Nioby; utwór ten przypisują Praksytelesowi. Jest to historia mitologiczna powszechnie znana. Niobe, córka Tantalą, była matką liczego potomstwa. Naśmiewała się z siostry swój Latony, że miała tylko dwoje dzieci. Lecz dzieci te, Apollon i Diana, były potężne i srogo pomściły matkę, zabijając strzałami wszystkie dzieci Nioby w jej oczach.

Owe posągi, znajdujące się w Florencyi, przedstawiają nieszczęsną matkę i konające dzieci. W obliczu Nioby maluje się niewymowna boleść macierzyńska, boleść serca, które odczuwa cierpienie drugich, na twarzach dzieci widać trwogę i jakby odurzenie przedśmiertne.

Do późniejszych czasów także odnoszą sławną grupę marmurową, przedstawiającą Laokooną z synami. Laokoon był to kapłan trojański, który ostrzegał wojowników o zdradzie Greków, za to Minerwa skazała go na śmierć okropną, przysłała węże jadowite, które go wraz z dwoma synami owinęły w straszliwe kręgi, póki nie wyzionęli ducha. Rzeźba przedstawia tę chwilę, gdy Laokoon i synowie jego cierpią te męczarnie. Na twarzach ich wyryta jest przerażająca boleść. Grupa ta, zaliczana także do najznakomitszych arcydzieł starożytności, wykonana była przez Agezandra i dwóch jego synów, rzeźbiarzy z wyspy Rodos. Niema jednak żadnej pewności, w jakim czasie żyli ci znakomici artyści, znani z tego jednego arcydzieła.

Za czasów Aleksandra macedońskiego wsławił się rzeźbiarz Lyzipus, rodem z Sycyony. Ten usiłował wskrzesić upadającą sztukę grecką, robił posągi rozmaitych bóstw, a także mnóstwo postaci atletów i wojowników. Najwięcej jednak się wsławił wizernkami Aleksandra macedońskiego, który go bardzo cenił i tylko jemu jednemu i malarzowi Apellesowi pozwalał robić portrety swoje.

Poprzednicy Lyzipusa, uczniowie Skopasa i Praksytelesa, zaczęli byli wpadać w przesadę, więcej dbając o wytworność i wdzięk kształtów, aniżeli o prawdę i naturalność. Lyzipus wyszydzał te sztuczne, wymuszone figury, sam zaś starał się podobnych wad unikać, biorąc wzory z natury. Pragnął on iść w ślady dawnych mistrzów doryckich,

Myrona i Polykleta. Z szczególném zamiłowaniem robił posągi bożka Herkulesa, gdyż w téj postaci mógł najlepiej uwydatnić siłę i atletyczne, potężne kształty. Używał zwykle spiżu do swoich robót.

Przez czas długi jeszcze rzeźbiarze greccy służyli po całym świecie, i w Azji Mniejszej, i na wyspach morza Śródziemnego, i w Rzymie, ale już nie dosięgli nigdy tak wysokiej doskonałości, jak w Atenach za czasów Peryklesa.

Można też dzieje rzeźby w Grecji podzielić na trzy okresy: początki sztuki, najwspaniałej zaznaczyły się w szczątkach rzeźb, znalezionych w Egipcie, przeważał wówczas styl dorycki. Drugi okres najświetniejszego rozwoju sztuki w Atenach doszedł do szczytu wielkości, styl joński wziął tam przewagę nad doryckim. W trzecim okresie, za Skopasa i Praksytelesa, rozpoczął się upadek, którego powstrzymać nie zdołał Lyzipus, chociaż był zdolnym i usiłował odrodzić sztukę grecką.

Dziś te zabytki, te szczątki pogruchotane i zniszczone, wielką są nauką dla nowożytnych artystów, każdy też, kto chce uprawiać sztukę, musi je poznać dokładnie. Najcudniejsze posągi noszą zwykle tylko nazwę miejscowości, gdzie się obecnie znajdują, lub gdzie je znaleziono. Tak na przykład słynny posąg Apollina, umieszczony w pawilonie zwanym Belwederem w Watykanie rzymskim, nazywany jest Apollinem Belwederskim, prześliczna Wenera w paryzkim Luwrze Wenerą z Milo, gdyż na téj wyspie, jednej z Cyklad, ją odgrzebano z ziemi. Inna znów bardzo piękna Wenera nazywa się Medycejską, gdyż była w posiadaniu téj rodziny; ale nikt już zapewne nigdy się nie dowie, jacy mistrze starożytni rzeźbili te arcydzieła i czy które z nich wyszło z pod dłuta Fidyasa lub Praksytelesa.

M. J. Zaleska.

BOLESŁAW ŚMIAŁY DZIECKIEM.

OBRAZEK.

przez M . . a.

(Komnata królewska, zbroje i broń na ścianie; Bolesław z szablą w ręce ćwiczy się w jej zażywaniu; Świętochna *), jego siostrzyczka, wbiega.

ŚWIĘTOCHNA (radośnie).

Dobrze dziś przedłam! aż matka chwaliła!
Cienko i równo, a lnu miałam siła!
A ty? jak dzisiaj ci poszło czytanie?

*) Świętochna zaślubiona następnie Wratysławowi Czeskiemu.

BOLESŁAW (porywczo).

Co tam!... Ważniejsze szablicą machanie.
Nie sechł nad książką Bolesław, Dziad Wielki,
Ale z prawicy nie puszczał szabelki;
To też go znali Luzacy i Czechy,
Kijów i Niemcy, i cudzy i Lechy.
A Dziad Mieczysław, że gnuśny do boju,
Żył nieszanowan, i zmarł w niepokoju.

ŚWIĘTOCHNA.

Bo Dziad Mieczysław był pono nietęgi,
Ani do szabli, ani też do księgi.
Za to pan Ojciec, choć w księgach uczony,
Drżą mu przed szablą i lud i korony.
Będziesz dziś ze mną w co grać Bolesławie?

BOLESŁAW (porywczo).

Nie chcę!... w rycerza... to się i pobawię.

ŚWIĘTOCHNA (skacząc z radości).

Zgoda! Ja będę gosposią tu w chacie!

BOLESŁAW.

A ja przyjadę na moim bachmacie.

(Bolesław wychodzi; Świętochna, wzięwszy się w boki ochoczo, śpiewa na nutę krakowiaka, a potem robi, lub udaje, że robi to, o czém śpiewa).

ŚWIĘTOCHNA.

Już z wojenki powracają panowie rycerze,
Héj! gosposiu, piecz pieczywo, żeby było świeże!
Czarki postaw i dzbanuszek syconego miodu,
Bo na wojnie przymrze rycerz pragnienia i głodu.
Niechże kiedy do dom wraca obrońca ojczyzny,
Wśród ma chleba, miodu, wczasu, za rycerskie
[blizny.

A i owsa przygotować trzeba też do żłobu,
Konik wierny duch rycerski, miło gościć obu.

(Słychać pukanie do okna z zewnątrz i głos Bolesława, który śpiewa na nutę mazura).

BOLESŁAW.

Stuku puku w okieneczko,
Otworz śliczna panieneczko,
Koniom wody daj!
Koniom wody daj!

ŚWIĘTOCHNA

Hu ha! już jadą zwycięzcy rycerze!

(roztwiera drzwi i zaprasza Bolesława, wchodzącego zbrojno i szumnie).

ŚWIĘTOCHNA.

Bóg w dom! spoczniście, pieczywo jest świeże,
Miód też jest stary! (czestuje)

BOLESŁAW.

Niech Bóg wam zapłaci!

ŚWIĘTOCHNA.

Co tam nowego?

BOLESŁAW.

A rażno wśród braci;
Ale spragnieniśmy, głodni, jak wściekli!
Bośmy wszech wrogów na drzazgi posiekli!
A koń mój wierny?...

ŚWIĘTOCHNA.

Zluzujcie choć zbroję,

Jedzcie, a ja wam konika napoję,
Owsa zasypię, ugłaszczę, popieszczę.

(Wybiega, zabierając niby owies w jakiś statek).

BOLESŁAW (*wola za nią*).

Owsa gołego nie dajcie mu jeszcze!

ŚWIĘTOCHNA (*wolając z zewnątrz*).Bądźcie spokojni, upraszam rycerza;
Czym ja gosposia ni z mięsa ni z pierza?
Czyli to nie jest mój brat wojownikiem?
Bym nie umiała się obejść z konikiem?

(wbiega napowrót, niby okrutnie zmęczona, ujmując się w boki).

ŚWIĘTOCHNA.

Och o!... konika otarłam troskliwie,
Długo wodziłam go zwolna po niwie,
Potém połam, karmiłam, jak trzeba,
Potém mu z ręki sól dałam i chleba.
Zjadł, wstrząsnął grzywą wspaniale i butnie!(*wstrząsa głową udając tém konika*).BOLESŁAW (*grożąc jej żartem*).

Wszystko to dobrze, lecz żwawo okrutnie!...

ŚWIĘTOCHNA.

Bom ja już taka gosposia jest żwawa,
(*wykręca się na pięcie*).Jakby Świętochna, ta tam, Bolesława,
Księcia młodego siostrzyczka, co pono,
Jak na jarmarku niedawno mówiono,
I jak rycerze mówili dziś młodzi,
Brata samego w żwawości przechodzi!BOLESŁAW (*urazony*).Czy tak? doprawdy? i w czémże to ona
Mała, skacząca, krzykliwa jak wrona,
Ona, dziewczyna! na marném przedziwie
Dni spędzająca, jak liszka leniwie,
Wczém Bolesława przechodzić też może,
Który już dzisiaj coś znaczy na dworze,
Nie że królewicz, lecz tak, jako męże,
W dłoni nie próżno dzierżący oręż!ŚWIĘTOCHNA (*żartując, tajemniczo*).W czém? o tém każdy powiada do ucha:
Prawda, że Bolek kawałek jest zucha,
Prawda, że mądrość Świętochny w przedziwie,
Ale też prawda i to niewątpliwie,
Że siostra biegłej wysnuwa swą przędę,
Niżli brat czyta litery na księdze.BOLESŁAW (*w uniesieniu gniewu*).Tak?! to idź powiedz tym kto tak powiada,
Że kto mię gniewa, to biada mu! biada!
Jam nie Mieczysław ze sławy odarty!
W gniewie, ja gniotę!

(W szalonym gniewie rzuca się na siostrę, która ucieka).

ŚWIĘTOCHNA (*składając ręce*).

Braciszku, toć żarty!

KRÓL KAZIMIERZ (*nagle wychodząc z bocznej komnaty, chwytając Bolesława za ramię*).

Stój Bolesławie! toć siostra twa, synu!

BOLESŁAW.

Czemuż mię gniewa...

KRÓL.

Jakiegoż to czynu

Z czasem dopuści się dłoń ta, o dziecię!
Która w dzieciństwie słabszego już gniecie!
Choćby tym słabszym nie siostra twa była...
Wiesz, po co mężom nadana jest siła?
Po co rycerskie na hełm kładziesz znamię?...
Aby słabszego broniło twe ramię!
Co to? ty płaczesz?... Ach, płacz w imię Pana

BOLESŁAW.

Wstyd mi...

KRÓL.

To pierwsza! to łza pożądana,
Pierwsza w twém życiu, bo dotąd, o dziecię!
Łzy na twém licu nie widział nikt w świecie.ŚWIĘTOCHNA (*rzuca się do nóg króla, pociągając i brata*).Ojcze, przebaczcie! i nic Dobrogniewnie,
Matce nie mówcie!

KRÓL.

Nie jestem ja w gniewie,
Owszem, z miłości chcę rzec: Bolesławie,
Imię twe mówi o bólach i sławie,
Strzeż że się synu, poskramiaj od młodu
Krewkość, co Piastom nieznaną jest z rodu,
Abyś za czasem za krewkość tę srogą
Bólmi sławnemi nie płacił snadź drogo!

P A M I Ę T A J !

(Dokończenie).

Mimo płaczu, krzyku i próśb moich nareszcie, ujęto mię w kilka dni w dawne karby. Musiałem wszystko robić tak, jak dawniej robiłem, jak matka żądała, ale przytém czułem się nieszczęśliwym nad wszelkie wyobrażenie, a matka droga, ukochana matka dawniejsza, chociaż zupełnie taka sama jak dawniej, zdawała mi się teraz tyranem. Z wyrzutem też spoglądałem na nią z pod oka, gdy mówiła czasem wzdychając:

— A to kłopot! to mi się dopięro chłopak rozbałamucił!

Na takich moich udręczeniach upłynęło dwa tygodnie, i pojechaliśmy do dziadzi.

O dziadzi tym słyszałem zawsze, ale nie widziałem go nigdy. Nie był to naprawdę mój dziadzio nawet, tylko pradziad, bo był rodzonym bratem dziada mojej matki. Był mi więc pradziadem stryjecznym. Matka odbierała od niego częste

listy, a ja podarunki, a oboje otrzymywaliśmy zaproszenia do niego na wieś, ale już na stałe zamieszkanie koniecznie; inaczej, na krótki czas, dziadzio nie chciał nas widzieć. Wytłómaczyła mi matka to dziwne jego kochanie, mówiąc, że on się żegnać z tymi których kocha nie lubi. Więc woli się nie witać, byle ich nie żegnać.

Teraz jechaliśmy do niego na resztę życia, aby, jak to sam w liście napisał: „raz się już tylko jeden pożegnać przy śmierci“...

Matka się nad tym listem rozplakała...

Jechaliśmy koleją, a później powozem; otulony w futra spałem na matki kolanach jak w w łóżku. Aż na raz poczułem całowanie i otworzyłem oczy.

— Nie śpij, dziecko, dosyć spałeś, zaraz zajedziemy przed dwór, dziadzię zobaczysz — rzekła matka, całując mię, a oczy miała łez pełne. Mijałiśmy właśnie rząd chat i drzew już w pąkach; wiosenne zapachy ulatywały połączone z dymem z kominów tych chat; a dym ten nie taki był, jak w mieście, on pachniał doprawdy... A wtém ukazał się niski, duży dom; powóz przesunął się koło okien, przed którymi skopano już grzędy za niskim płotkiem, i stanęliśmy przed dużym gankiem. Na dwóch grubych słupach oparty dach jego był jeszcze troszkę śniegiem przypruszony. Dwie wielkie ławy stały po bokach tego ganku, dwa bale tworzyły wschody, po których się tam wstępowało. Na tym ganku stał ogromny mężczyzna, chociaż trochę pochylony, w granatowej długiej kapocie, ciemnym pasem przepasany w czworograniastej czapie z siwym barankiem. Jedną rękę wspierał na kiju wielkim i grubym, jak pałka, drugą przysłaniał oczy od słońca, patrząc ku nam.

— Witajcie! — powiedział, gdy się powóz zatrzymał, kij wypadł mu z ręki, on obie ręce i oczy podniósł do nieba na jedną chwilę, wiatr odwiał mu ze skroni w tył długie białe włosy i rozdzielił długą białą brodę, złączoną z białymi wąsami.

— Oto *porządny* mężczyzna! — szepnąłem, roztwierając oczy i usta ze zdumienia, bo ten olbrzym, stojący w tym ganku z bali potężnych, zdał mi się wykutym z kamienia. Ani wiem dla czego uczniowie, których dotąd miałem za największych mędrców i najpiękniejszych ludzi na świecie, nagle zmaleli okrutnie w moich oczach.

On tymczasem prędko wielkimi stopami z ganku zstąpił i spuszczać ręce swe wprost na mnie, wyjął mię z powozu, przycisnął sobie do piersi i postawił w ganku, ręce mi na jedno mgnienie oka kładąc na głowie. I to samo zrobił z matką. Wyjął ją z powozu i postawił w ganku, jak mnie.

— Ot to *porządny* mężczyzna! — pomyślałem, spoglądając na niego zdumiony jego siłą. On matkę i mnie przed sobą we drzwi domu wprowa-

dził. Ja przestąpiłem już próg, gdy matka, łkając gwałtownie, upadła na kolana na tym progu... Dziadzio ją podniósł po chwili i weszliśmy do dużej sieni, a z niej do dużej izby. Wtedy matka wzięła mię za rękę i uklękła przed dziadziem wraz ze mną, a dziadzio położył nam ręce na głowach i cicho po łacinie coś mówił... Kiedy rękę z mej głowy odjął i ja mu w oczy spojrzałem, o mało nie krzyknąłem z podziwu, bo grube, gęste łyzy toczyły mu się po twarzy zbrudzonej, po wąsach białych i świecącej brodzie białej...

— Jakto? więc dorośli mężczyźni płaczą? Koledzy u ciotki mówili, że to wstyd wielki — spytałem matki. Ale ona nie słyszała, bo siedząc w rogu kanapy gwałtem chustką łkanie tłumiła. Dziadzio koło matki siedział i patrzył, to na nią, to na mnie; dotąd prawie jednego słowa nie przemówili, jakby im słów nie było potrzeba. A wtém się szmer zrobił za drzwiami. Dziadzio chciał wstać, podparł się obiema rękami, ale wstawać mu trudno już było. Matka prędko mu ramię podała.

— Ja kij przyniosę! — powiedziałem, i biegłem do drzwi po ów kij, który to upadł, a gdy je otworzyłem, stanąłem w obec kilku starych ludzi, jeden z nich porwał mię na rękę i podniósł w górę, wołając:

— To prawnuk nasz! — i zaczęli wszyscy sobie rękawami oczy ocierać. Spojrzałem na dziadzię, a jemu znów łyzy się toczyły, a ludzie matkę za kolana ściskali.

— Ha, a więc pokazuje się, że *porządni* mężczyźni płaczą — rzekłem sam do siebie i rozplakałem się w głos.

Tegoż jeszcze wieczora byłem u dziadzi tak swobodny, jak dawniej w naszych pokoikach maleńkich w mieście. Matka gospodarowała ze starszuską, gospodynią która w jednym dniu z matką mojej matki ślub brała, a matkę moję ucałowała w twarz, jakby swoją córkę. Z wielkiej izby, w której nakryto do wieczery, wiodły drzwi jedne do alkierza, gdzie dziadzi łóżko stało, łosiowemi skórami usłane, jak mię objaśniono. Drugie drzwi prowadziły do sporego pokoju, przygotowanego dla matki i dla mnie. W tym pokoju nic bardzo ciekawego nie było, ale ów ciemny alkierz nęcił mię strasznie tajemniczością swoją. Gdy dziadek z matką, milczący z początku, rozgadali się później, ja kręciłem się ciągle koło alkierza, gdzie mię przedewszystkiem to łóżko dziwnych kształtów zaciekawiało, aż odkrywszy pościel, krzyknąłem przeraźliwie. W tejsze chwili prawie matka przybiegła i chwyciła mię drżącego:

— Trumna!... — szepnąłem, tuląc się w jej ramiona i wskazując łóżko dziadka. Dziadek stał tuż, i słyszał:

— Cóż u Boga! czy to teraz tacy mazgajowaci chłopcy tam na waszym świecie bywają? — spytał zdziwiony nie żartem — cóż to? czy on trumny nie widział? czy nie wie, że ludzie umierają? czy nie wie, że to z takiego samego robi się drzewa, jak i łóżko, i że wszyscy starzy ludzie tak u nas dawniej sypiali? Czy ty się drewna tego boisz, chłopcze?

Spojrzałem na matkę i widziałem, że jój wstyd za mnie, i mnie też wstyd było teraz mego tchórzostwa.

— Wiem, że ludzie umierają, nie boję się drewna, ale nie wiedziałem tak odrazu, że.. że, że to nie łóżko — powiedziałem, siląc się na spokojność.

— Owszem, dziecko, to łóżko, takie dobre jak każde i musi być zdrowo na niém sypiać, kiedy ja sypiam tak długo — powiedział dziadek, i wróciłszy do wieczery. Zjadłszy, rozeszliśmy się na spoczynek; ale drzwi pozostały roztwarte, więc ja zaglądałem jeszcze do dziadzi. Patrząc, a on wsparłszy się rękoma o swoje łóżko, nad którym świecący wisiał obrazek, klęka, bierze różaniec w ręce, i głośno mówić zaczyna grubym głosem:

— *Pater noster, qui es in coelis, sanctificetur nomen tuum, adveniat regnum tuum...*

W alkierzu świeciło się, teraz więc z izby wszystko dokładnie widzieć mogłem: i jakieś skrzydła dwa ogromne w kącie, na czemś błyszczącym żelaznym sterzące, i podłogę całą wilczemi futrami wysłaną, i niedźwiedzie futra przed łóżkiem i na łóżku, a już wiedziałem od rana, że te niedźwiedzie i wilki dziadek sam pozabijał. W sieni jeszcze parę nie wyprawnych wilczych skór nawet wisiało. I różna broń błyszczała tuż nad łóżkiem. Patrzałem i domyśliłem się, że to co błyszczało, to była stara pradziadka zbroja, a skrzydła były takie, jak rycerze dawniej na barkach nosili przytwierdzone; a dziadek się modlił dalej:

— *Fiat voluntas tua sicut...*

— Matko! matko! dziadzio tak pięknie po łacinnie mówi pacierz! — szepnąłem, wbiegając pocichu do pokoju matki. Ale matka nie odpowiedziała mi, bo sama klęczała i modliła się także. Więc i ja ukląkłszy zmówiłem pacierz głośno, po raz pierwszy z wielkim przejęciem, jak należało, a nie z musu, jak to czyniłem od sześciu tygodni.

Nazajutrz zerwałem się z pościeli raniutko, bo ciekawy byłem, a tu wszystko mię dziwiło. Przedewszystkiem na palcach poszedłem do alkierza. Ale tam już dziada nie zastałem. Wszystko było posłane, poskładane i stało na tém samém miejscu, co wczoraj, co od wielu dziesiątków lat zapewne. Buty w kącie na prawidłach, zamiast na stole, jak bywało u uczniów, a na stoliku przy łóżku świeca, książka, karafka i szklanka.

— A więc u porządnego mężczyzny nie koniecznie but musi być na stole, świeca na łóżku, a talerz pod stołem — myślałem sobie, idąc na wyszukanie dziada ku sieniom, z kądem dziwny jakiś szmer dochodził.

Przed sienią stał dziadzio, kark schylił naprzód ku ziemi, a chłopak z konwią wody stał przy nim i tę wodę mu potrochu na kark i głowę wylewał:

— Brr!... otrząsał się dziadek i mył. Umywszy się, wziął od chłopaka duży ręcznik i tarł się nim, a potem wszedłszy w sień, wziął znów od niego grzebień i cesał nim włosy, wąsy i brodę, rozmawiając przytém ciągle z przechodzącymi parobkami.

— Teraz Antoś niech mnie tak poleje! teraz ja się będę mył! proszę dziadzi! — prosiłem.

— A czyś ty zwyczajny myć się taką zimną wodą? — spytał dziadek.

— To ja się przyzwyczaję.

— Czekaż Antoś, nie lej — rzekł dziadzio — trzeba się matki spytać, bo to tym dzisiejszym chłopcom lada co zaszkozi, od czego porządnemu mężczyźnie tylko zdrowie być może.

— To ja też właśnie chcę koniecznie być porządnym mężczyzną! — zawołałem.

— Chcesz? to dobrze, to mię cieszy, bo jak chcesz być, to i będziesz, ale trzeba się wprzódy być takim nauczyć. Chodź, chłopcze, do matki.

I poszliśmy do matki i opowiedzieli jój tę sprawę z myciem. A potem przy śniadaniu matka opowiedziała dziadkowi całą sprawę z uczniami swywołnikami, i moje zaniedbanie u zapracowanej ciotki i rozbałamucenie się między uczniami, i przekonanie moje, że ci uczniowie byli najmądrszymi i najporządniejszymi ludźmi pod słońcem, i świeże moje przekonanie, że nie oni, lecz właśnie dziadek jest najporządniejszym na świecie mężczyzną, wzorem godnym naśladowania.

— No, więc po czémżeś ty poznał, że ja jestem porządnym mężczyzną? — spytał mię w końcu dziadzio, śmiejąc się.

— Po tém, że... że dziadzio tak robi właśnie, jak mama każe i jak... jak robić się powinno — odpowiedziałem.

— A ty z kądem wiesz, jak się robić powinno?

— Ja nie wiem, tylko ja tak to sobie czuję...

— Aha! czujesz w serduszkach i rozumiesz w rozumie, że w mojem sercu i w moim rozumie jest porządek, jest ład i spokój. Pamiętajże teraz, chłopcze, co to jest porządny mężczyzna: powiedz!

— To jest mężczyzna, który ma w rozumie ład, a w sercu spokój — podpowiedziała mi matka, ja powtórzyłem, a dziadek uściskał mię, mówiąc:

-- Pamiętaj!

KRAJOBRAZ ZWROTNIKOWY.

Rysunek nasz przedstawia wybrzeże rzeki Cauca w Nowej Grenadzie, w Ameryce południowej. Widzicie tu owe liany, czyli płatorośle, cechujące roślinność zwrotnikową, które jednak nigdzie nie występują tak obficie, jak w Ameryce, gdzie świat roślinny nieporównanem bogactwem się odznacza. Tam drzewa po lasach tak są całkowicie pokryte najrozmaitszemi roślinami pasorzytnymi, że botanik z trudnością odróżnić może, które gałęzie i liście należą do pnia głównego, a które do tych nieproszonych jego gości, żyjących z jego soków.

Patrzcie na rysunku, jak te giętkie liany spuszczały się nakształt sznurów z wysokiego drzewa aż do ziemi, w splotach i zakrętach rozmaitych, tworząc u góry prawdziwą huśtawkę, na której kołysze się wesoła małpeczka.

U dołu znów łatwo rozpoznać po grubych liściach, a raczej łodygach spłaszczonych w kształcie rakiety, najpospolitsze kaktusy, czyli opuncje, które jednak dopiero w Meksyku wyrastają w całej okazałości i w olbrzymich rozmiarach. Obok nich sterczą znów sztywne, wydłużone liście agawy, a zdaleka ukazuje się wysmukła palma, o rozwianych warkoczach. Przejrzyste zwierciadło wody każdy krajobraz ożywia i niepospolitego mu dodaje uroku.

Przygody Myśliwskie młodych osadników

W AFRYCE POŁUDNIOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Mieszkańcy Afryki południowej, tak krajowcy jak i boerowie, trudnią się więcej hodowaniem bydła, niżeli rolnictwem. Utrzymują liczne trzody koni, krów, kóz i owiec o długich ogonach. Bogatsi tylko osadnicy zasiewają nie wielkie kawałki gruntu prosem murzyńskim, a czasem gryką. Uprawiają przytem niektóre warzywa, jakoto: melony, ogórki, dynie. Zasadzają także winogrona i różne drzewa owocowe, grusze, jabłonie, brzoskwinie i granaty.

Ubożsi nie znają wcale tych przysmaków, nie uprawiają ziemi i żadnych roślin nie zasadzają przy swoich mieszkaniach, czyli kraalach; nigdy też nie jadają chleba i żywią się tylko mięsem wołowem i baraniem świeżem lub wędzonem, które przyrządzają bardzo umiejętnie. W niektórych okolicach, gdzie jest obfitość zwierzyny, mięso różnych antylop stanowi główne pożywienie, a przy

każdém mieszkaniu wznoszą się ogromne stopy rogów. Mięso antylopy krowiej ma smak bardzo podobny do wołowiny, zwykle bywa smażone w tłuszczu baranim, którego obfitość dostarczają owe długie ogony, wspomniane już wyżej. Mięso kwiagi jest także jadalne, ale nie należy do wykwintnych pokarmów, i zwykle tylko Hotentoci się niem żywią.

Myśliwi nasi, wychowani w domach zamożnych, przyzwyczajeni byli do chleba i zabrali z sobą w drogę kilka worków sucharów; zajadali je wesoło z ozorem antylopy i popijali kawę. Wszyscy byli w bardzo wesołem usposobieniu i rozmawiali o wczorajszej przygodzie, która im się teraz zabawną wydawała, gdy minęło niebezpieczeństwo.

Nie śpieszyli się z jedzeniem, gdyż nie mieli na widoku żadnej wycieczki, musieli odpocząć i koniom dać wytchnąć przed rozpoczęciem dalszej podróży. Po śniadaniu zamierzali obejrzeć siodła, poprawić i umocować, gdyby się okazało co zepsutego. Nie dokończyli więc jeszcze skromnego posiłku, gdy nadbiegł Kongo zdyszany i dziwnie ożywiony donosząc, że gromadka strusi ukażała się na łące.

Wiadomość ta powitana była okrzykami radości przez młodych myśliwych, zwłaszcza dwaj malcy byli uszczęśliwieni. Załatwiono się teraz szybko bardzo ze śniadaniem; w jednej chwili znikły resztki ozora, każdy wychylił swoją kawę jednym haustem, a sucharów wszyscy się wyrzekli.

W kilka minut potem konie już były osiodłane, jezdźcy wskoczyli na nie, nie pomnąc o jutrzejszej podróży i rozsądnych postanowieniach. Trudno było myśleć o odpoczynku dla siebie lub koni, skoro się nadarzała tak piękna sposobność wyנגrodzenia zawodu, który ich spotkał niedawno, gdy strusie umknęły im przed nosem.

Ale gdzież był Facetan, który radą i czynem najlepiej im mógł dopomóc w tém ważnem przedsięwzięciu? Wszyscy przyznawali, nie wyłączać Zulusa, że gdy szło o strusie, żaden z nich nie był takim znawcą, jak Buszman. Posiadał on niemięj dokładne wiadomości i o innych zwierzętach pustyni, o trawożernych zwłaszcza i ptactwie wszelkiego rodzaju. Nic w tém nie było dziwnego; Zulusi są ludem pasterskim, hodują liczne trzody, których strzedz muszą od drapieżnych zwierząt; dla tego też Kongo znał doskonale wszelkie sposoby wojowania z lwem, lampartem, hyeną i innemi dzikimi zwierzętami, które grasują w tej części Afryki, lecz mniej był biegłym, gdy szło o polewanie na zwierzynę jadalną, bo ludy, hodujące wielką ilość bydła, nie dbają o to mając dostatek mięsa.

Buszmani przeciwnie trzód nie trzymają, cza-



七九

J. KLEZEMISAR

KRAJOBRAZ ZWROTNIKOWY (str. 360).

sem tylko wykradają bydło u osadników, ale go nie hodują, tylko natychmiast zjadają. W braku zwierząt domowych, muszą się żywić głównie zwierzyną, pożerają wszelkie stworzenia żyjące, poczynając od liszek i szarańczy, aż do girafy i słonia, nie dziw więc, że cały swój dowcip wysilają na to, aby tę upragnioną zdobycz pochwycić. Uganiając się ustawicznie za zwierzętami, które im dostarczają pokarmu, muszą się najdokładniej z nimi zapoznać, przypatrzeć się ich obyczajom, i obmyślać rozmaite wybiegi, aby je łatwiej zabijać lub chwycić. Facetan w młodości jeszcze sływał pomiędzy swoimi, jako mistrz niepospolity w myśliwskiej sztuce, a z wiekiem większego jeszcze nabrał doświadczenia.

Lecz gdzież się mógł zapodzieć w tej chwili właśnie, gdy miał tak dobrą sposobność popisania się ze swojemi talentami? Od godziny nie widziano go wcale w obozie; Kongo utrzymywał, że popędził woły na paszę i oddalił się, szukając lepszego pastwiska.

Młodzi myśliwi chcieli go szukać zrazu, ale nie było na to czasu, Kongo upewniał, że woły musiały zejść bardzo daleko, a strusie nie miały pewnie ochoty czekać na przybycie Facetana. Trzeba więc było na ten raz obejść się bez niego; Henryk dał hasło wymarszu, śpiął konia ostrogami i puścił się w cwał, za nim popędzili wszyscy młodzi myśliwi.

XXIII.

Polowanie na strusie.

Jezdźcy zatrzymali się na skraju lasu, ukryci pomiędzy drzewami i najpierw bacznie objęli okiem widok, roztaczający się przed nimi. Kongo się nie omylił; ośm strusi przechadzało się po łące, jeden samiec trzymał się osobno, a w skupionej gromadce pięć wyglądało na samice, a dwa na samców. To wyrażenie: *wyglądało*, dziwi was zapewne, czytelnicy. Wiecie bowiem, że samca strusia łatwo bardzo odróżnić od samicy po wzroście i barwie piór. Nie przeczę temu, ale trzeba wiedzieć, że różnica nie jest tak wyraźna, póki ptaki są młode i wtenczas nie łatwo samca rozpoznać od matki, gdyż braknie mu jeszcze tych wspaniałych piór białych, które pobudzają chciwość myśliwych.

Tym razem jednak nie to było przyczyną niepewności naszych młodych przyjaciół. Nie mogli odróżnić samców od samic, bo mieli słońce prosto w oczy, światło ich tak raziło, że niepodobna im było dopatrzeć barwy ptaków, wszystko migotało i mieniło się przed nimi. Policzyli strusie, ale nie byli pewni, ile tam było pomiędzy nimi samic i samców.

Ptaki nie przeczuwały wcale zbliżenia nieprzy-

jaciół i najmniejszj nie okazywały obawy. Przechadzały się spokojnie, niekiedy pochylały się i chwyciły dziobem to odrobinę piasku, to kamyczek; tak przynajmniej patrzący tłómaczyli sobie ich ruchy. Czasem znów przysiadły na ziemi, podginając pod siebie długie nogi i podnosiły kurz dokoła, zupełnie jak kury, gdy grzebią w suchej ziemi, a powstający ztąd obłok kurzawy zasłaniał je zupełnie przed oczyma naszych myśliwych.

Strusie znajdowały się niezbyt daleko od lasu, a najbliżej był stary samiec, który się osobno przechadzał, szukając pożywienia. Ale oddalał się zwolna, trzeba więc było śpiesznie coś przedsięwziąć.

— Jaka szkoda — wołali Janek i Klaas — żeśmy wcześniej nie wiedzieli o niczém! on tu musiał być jeszcze daleko bliżej.

Myśliwi nasi naradzali się przez chwilę i stanęło na tém, aby jaknajprędzej wyruszyć i ze wszystkich stron okrążyć strusie. Miejsce to było w znacznej odległości od owego zniszczonego gniazda, ptaki zapewne nie miały z niem nic wspólnego; gdyby były wiedziały o wszystkich kłeskach, jakie spotkały właścicieli gniazda, nie przechadzałyby się z takim spokojem w tych stronach. Biedne samice, których opiekun ugodzony został zastrutą strzałą Buszmana, pewnieby się tu więcej nie pokazały.

W każdym razie myśliwi nasi radzi byli, że gromadka strusi obrała sobie na wypoczynek tę ustroń, zamkniętą z dwóch stron gęstwiną leśną; był to rodzaj odnogi rozległej łąki, która klinem zachodziła w las, a położenie to ułatwiało niezmiernie całą sprawę, bo myśliwi potrzebowali tylko od strony odkrytej łąki przeciąć drogę strusiom, a ptaki nie zapuściłyby się z pewnością w gąszcze.

Wypadało tedy z narady, ażeby podjechać lasem jak tylko można było najbliżej, a potem zabiedz od strony łąki. Henryk i William mieli najlepsze konie, oni więc podjęli się najpierw wyskoczyć z dwóch przeciwnych stron lasu i okrążając ptaki w półkole, wszelkimi siłami starać się zagrodzić im drogę ucieczki. Hans i Arend mieli wpaść w chwilkę, później, także każdy z innej strony, nakoniec i dwaj najmłodszy dopełniliby w końcu półkole, a tym sposobem ptaki, mając las z jednej strony a sześciu dzielnych jeźdźców z drugiej, byłyby wzięte w pułapkę.

Młodzieńcy rozdzielili się niezwłocznie, trzech odjechało w jedną stronę, a trzech w drugą, Kongo otrzymał polecenie wybiedz z lasu, jak tylko gonitwa się rozpocznie i dopomagać myśliwym; pomoc ta była nie do pogardzenia, chociaż Zulus

nie na koniu, tylko na własnych nogach miał biegać.

Polowanie zapowiadało się świetnie, byle tylko Henryk i William dobrze się sprawili i nie dali odrazu umknąć strusiom. Gdy ptak jest ze wszystkich stron otoczony, zazwyczaj traci głowę i łatwo się daje pokonać. Szło głównie o to w tej chwili, aby strusie nie zwietrzyły niebezpieczeństwa i nie uciekły, zanim myśliwi dotrą do stanowiska. Jezdźcy z największą ostrożnością przemykali się przez gęstwinę leśną, nie patrząc nawet na strusie, aby się nie zdradzić i nie tracić czasu; jeden Zulus nie spuszczał z oczu ptaków i pilnie śledził wszystkie ich poruszenia, chociaż rażący blask słońca bardzo mu w tym przeszkadzał.

XXIV.

Osobliwszy strus.

Kongo widział tedy, że ów samiec, przechadzający się osobno, zbliżał się ciągle powoli do gromadki, nakoniec, gdy był już tylko o kilkanaście kroków, Zulus nasz spostrzegł ze zdziwieniem, że reszta strusi niezbyt przychylnie witała przybysza. Wszystkie zwróciły się ku niemu z wyciągniętą szyją, a po chwili, jakby zdziwione i przestraszone nawet, odskoczyły w bok i oddaliły się od niego o kilkanaście kroków. Samotny samiec przystanął, potem znów się do nich przybliżał powoli, bez zbytnej natarczywości.

Gromadka spoglądała na niego podejrzliwie i raz po raz się cofała, tak zupełnie, jak gdyby miała do czynienia z gościem nieproszonym i niemiłym, którego się pozbyć chciała. Ale natręt nie dawał się tém zrazić i coraz bliżej się podsuwał, chociaż widocznie nie należał do rodziny. Nakoniec strusie zmieniły sposób postępowania; zamiast cofać się w prostą linię, obiegły naokoło obcego samca i powróciły na dawne miejsce.

Zulus spostrzegł jednakże, iż tylko samice wykonały ten manewr, dwaj samcy, należący do tej zgodnej gromadki, zadziwili go do najwyższego stopnia szczególnem swém zachowaniem. Żaden z nich nie poruszał się z miejsca, jeden przysiadł na ziemi i głowę pochylił, drugi zatrzepotał skrzydłami i zaczął się chwiać na nogach, jak pijany człowiek. Po chwili pierwszy położył się na piasku, a drugi przysiadł opodal. Samice biegały koło nich jakby oszalałe, jeden tylko ów obcy samiec przechadzał się z tą samą obojętnością.

Kongo, nie znający wcale obyczajów strusi, które rzadko kiedy pojawiają się w jego ojczyźnie, nie mógł pojąć znaczenia tego osobliwszego wido-

wiska; wyobrażał więc sobie, że to jakaś zabawa ptasia.

Tymczasem młodzi myśliwi szybko zdążali na swoje stanowiska. Janek i Klaas mieli najkrótszą drogę do przebycia, najprędzej też stanęli na miejscu i zaglądając z za drzew, zdumieni się także na widok tego, co się działo wśród gromadki strusi. Hans i Arend zatrzymali się nieco dalej, spojrzeli także na równinę, ale nie mieli czasu przypatrywać się ptakom, gdyż pilnie wyglądali ukazania się Williama i Henryka, chcąc w tejże samej chwili wypaść z gęstwiny i zabiedz strusiom drogę, gdyby w tę stronę uciekały.

Nie czekali długo, dwaj jezdźcy wkrótce zjawili się na błoni, pędząc z dwóch stron przeciwnych i opasując wielki krąg naokoło gromadki strusi. Hans i Arend, Janek i Klaas, wypadli jednocześnie z lasu z rozmaitych punktów i wszyscy razem rozpoczęli gonitwę.

Tu dopiero zdziwienie naszych myśliwych nie miało granic. Przygotowani byli na to, że ptaki zerwą się i nie łatwo się dadzą powstrzymać od ucieczki, tymczasem stała się rzecz całkiem niespodziewana. Strusie siedziały ciągle na piasku, nie ruszając się z miejsca, jak gdyby się najspokojniej wygrzewały na słońcu. Niepodobna było jednak przypuszczać, że nie spostrzegły zbliżenia jezdźców, czemuż więc nie uciekały? Z całej gromadki tylko dwie samice pomknęły na widok naszych myśliwych, odbiegły nieco w bok, potem wróciły na dawne miejsce i kręciły się w kółko, jakby zupełnie głowę straciły, w końcu także przysiadły. Jeden tylko ów samiec samotny, który zdawał się nie należeć do rodziny, utrzymał się na nogach, ale nie obejrzał się nawet, jakgdyby nie widział wcale niebezpieczeństwa i przechadzał się pomaleńku, tak samo, jak wprzódy.

Myśliwi w głowę zachodzili, patrząc na to, nie omieszkali jednak skorzystać z niepojętej nieroztropności ptaka, Henryk i William podjechali bliżej, podnieśli strzelby, obaj jednocześnie wymierzili, gdy wtém krzyk straszny przebił powietrze, młodzieńcy przerażeni opuścili broń, a w tejże samej chwili strus gwałtownym ruchem zrzucił z siebie skórę i ukazał się zdziwionym oczom młodzieńców — nie żaden ptak, tylko czarny, mały człowieczek, z nogami pomalowanemi wapnem na białło, w człowieczku tym poznali wreszcie Facetana.

On to był w rzeczy samej, przebrany w skórę i pióra zabitego przed dwoma dniami strusia; jego to strzały zatrute obezwładniły całą gromadkę ptaków, wszystkie co do jednego były nieżywe lub konające, przebiegły Buszman dokonał tego bez żadnej pomocy.

Ale zasławszy pole trupami, i sam o mało ży-

ciem nie przypłacił dowcipnego swego pomysłu. Wyznał też szczerze, iż miał chwilę okropnej trwogi. Nie spostrzegł on odrazu myśliwych, gdyż najpierw nie spodziewał się wcale ich przybycia, a potem tak był swoim polowaniem zajęty, że na nic uwagi nie zwracał. Uszy miał zupełnie zasłonięte swoim strojem ptasim, nie słyszał tętentu koni i przypadkiem tylko podniósł wzrok w chwili, gdy Henryk i William wymierzili do niego i mieli mu posłać dwie kulki. Ledwo miał czas narobić krzyku i uratować się w porę przed niechybną śmiercią.

Młodzi myśliwi zadrżeli także na myśl, o strasznych skutkach, jakie mogły wyniknąć z tej pomyłki, lecz gdy pierwsze wrażenie przemineło, nie mogli się powstrzymać od szalonego śmiechu, patrząc na ubielone nogi Buszinana i płaszcz jego puszysty, leżący na ziemi.

Facetan, ochłonawszy z przestrawienia, spoglądał z tryumfem na pobojuwisko, a gdy przechodził obok Zulusa, szepnął tylko te słowa:

— A co, umiem polować, he?

Czemże była żółwia skorupa Zulusa, w porównaniu do ptasiego stroju Facetana?

XXV.

Antylopy pstrokate i białogłówki.

Dnia następnego gromadka podróżników wyruszyła w głąb puszczy, kierując się na północno-wschód. Przez dwa dni przebywali okolicę ogoloną całkowicie z roślinności, nigdzie nie napotkali kropli wody. Ale młodzieńcy nasi wieźli na wozach kilka baryłek, które starannie napełnili wodą, zapuszczając się w tę nieznaną okolicę.

Konie i woły napawano bardzo oszczędnie, a i młodzi myśliwi wstrzymywali się, jak mogli od wody, chociaż każdy z nich byłby całe wiadro jak nie wychylił na dzień. Podróżnicy wśród spiekłych puszczy zwykle doznają takiego pragnienia, co jest rzeczą łatwą do zrozumienia. Powietrze tam nadzwyczajnie jest suche, a ciało ludzkie poci się obficie w skutek wielkiego gorąca i ciągle potrzebuje nowy zapas wilgoci wprowadzać do organizmu.

Uciążliwa ta przeprawa skończyła się nareszcie i młodzi myśliwi ujrzeni przed sobą okolicę całkiem odmienną. Była to kraina górzysta, a wyniosłe wierzchołki najrozmaitsze przedstawiały kształty. Jedne były zaokrąglone, inne stożkowate, niektóre miały cypłe spłaszczone, jakby zcięte u góry, inne zdawały się przebijać chmury zaostrozonymi końcami. Wysokość pojedynczych szczytów była także bardzo rozmaita, jedne gubiły się w obłokach, inne wyglądały jak pagórki,

niektóre sterczały stromo, inne znow miały stoki spadziste i zaokrąglone, ale wszystkie prawie wznosiły się jednym rzutem ponad płaszczyznę, bez żadnego falowania gruntu. To pasmo gór przedstawia wiele podobieństwa do amerykańskich Kordylierów, a i skład ich geologiczny jest zupełnie takiż sam.

Prawie wszystkie szczyty, mające kształt stożkowaty lub piramidalny, stoją zupełnie odosobnione; niektóre z nich całkowicie są pozbawione wszelkiej roślinności, od podstawy aż do wierzchołka, inne tuż obok mają stoki pokryte prawie do połowy zielonym płaszczem bujnych lasów, a wyżej dopiero nagie skały bieleją w promieniach słonecznych.

Równiny pomiędzy temi górami są czasem tak rozległe, iż podróżnik, przebywając je, ledwo dostrzeżę pasma wyżyn na samym krańcu widnokreśgu. Pokrywa je trawa gęsta i niska, która wygląda jak pastwisko świeżo skoszone, lub spasione przez trzodę. Bo też w rzeczy samej niezliczone stada dzikich zwierząt trawożernych przebiegają ustawicznie te łąki. Trawa tam twarda i sucha, smak ma nieco słonawy. W wielu miejscach ziemia pokryta jest skorupą soli, a na źdźbłach trawy ukazuje się osad biały, jakby szron zimowy. Pokłady solne zajmują niekiedy znaczne przestrzenie kilku wiorst kwadratowych.

Ta część kraju zwana jest przez boerów Zuur-Weldt, co znaczy ziemia o słonej trawie; tam przebywają najliczniej dwa piękne gatunki antylopy, które niektórzy przyrodnicy zaliczają do rodzaju gazeli. Obie te antylopy niezmiernie są podobne do siebie i z powierzchowności, i z obyczajów, możnaby je nawet uważać za dwie odmiany tegoż samego gatunku.

Różnią się jednak pomiędzy sobą ubarwieniem sierści i rogów. Pierwsza, zwana przez osadników białogłówką a przez naturalistów *antilopa albifrons* jest zwykle cokolwiek mniejsza i ma rogi jasno szare, prawie białe; druga odznacza się czarnymi rogami i ozdobnym ubarwieniem, które jej nadało nazwę antylopy pstrokatej, w naukowej klasyfikacji *antilopa pygarga*. Jest to prześlizczne zwierzę, nadzwyczaj zwinne i zręczne; prawie tak wielkie, jak jelen europejski, ma jednak kształty lżejsze i zgrabniejsze. Rogi tej antylopy niezbyt długie, czterdzieści centymetrów dochodzące, lekko są obrączkowane, rozchodzą się nad czołem i zakręcają w kształcie litery S.

Różne odcienie brunatne i kasztanowate, wpadające w purpurowe i fioletowe, składają się na ubarwienie antylopy pstrokatej; nie należy jednak brać tej nazwy w znaczeniu dosłownem, połączenie tych barw nie jest jakąś beładną pstrokacizną,

ale układa się w regularne desenie, jak gdyby pędzlem malarza wykonane; ztąd nawet w niektórych okolicach osadnicy antylopę tę nazywają nie pstrokata, tylko malowaną.

Głowa i szyja jęj jest ciemnobraunatna w czerwone centki, biała pręga spuszcza się od środka rogów do oczu, niżej zaś rozszerza się tak, że pokrywa cały przód głowy aż do pyska. Na grzbiecie ma wielką plamę ciemno fioletową, z odcieniem szafirowym, gładką i połyskującą, jakby pokostowaną, plama ta rozszerza się na boki w kształcie siodła, niżej znów ciągnie się aż pod brzuch szeroka pręga kasztanowata. Brzuch i nogi są zupełnie białe, wielka biała plama przykrywa cały krzyż poniżej grzbieta.

Białogłówka ma także podobne plamy i pręgi, ale nie tak świetne, składają się na nie odcienie kasztanowate; tylko przód głowy ma zupełnie biały i stąd pochodzi jęj nazwa. Skóra tych antylop jest bardzo ceniona przez krajowców, którzy z nięj robią płaszczki zwane *karos*.

Białogłówki i antylopy pstrokate trzymają się licznymi stadami na wielkich łąkach słonych; nieraz ogromne przestrzenie pokrywają jakby mrówiem. Niemniej czujne i trwożliwe, jak antylopy skaczące, zachowują się jednak inaczej w chwili niebezpieczeństwa. Antylopy skaczące rozpierzchają się w popłochu na wszystkie strony, te zaś biegną ciągle naprzeciw wiatru, z pochyloną głową i nozdrzami przy ziemi, jak ogary tropiące zwierzynę. Zwinniejsze daleko od antylop skaczących, są zarazem i roztropniejsze, bronią się z większą daleko przebiegłością, jak gdyby rozumiały, że cenniejszą są zdobyczą dla myśliwych i więcęj od innych powinny się wystrzegać napaści.

W dawniejszych czasach obie te antylopy były daleko pospolitsze we wszystkich okolicach Afryki południowej, nawet w bliskości osad europejskich, aż do samego przylądka Dobręj Nadziei. Teraz już tylko na łąkach słonych Zuur Weldt napotkać je można, po za rzeką Pomarańczową.

XXVI.

Polowanie na antylopy pstrokate.

Młodzi myśliwi wiedzieli o tém dobrze, iż kraina, którą przebywali obecnie, jest właściwą ojczyzną antylopy pstrokatęj i postanowili zatrzymać się tu na parę dni przynajmniej, ażeby urządzić walne polowanie na tę piękną zwierzynę. Nie tyle im szło o mięso, ile o skórę ozdobną, którą koniecznie pragnęli dołączyć do swoich myśliwskich zdobyczy. Wkrótce też rozłożyli obóz na rozkosznej łące, w bliskości strumienia.

Nazajutrz rano cała gromadka wsiadła na koń

i puściła się na zwiady, szukając śladów antylop pstrokatych. Nie trudno jest natrafić na te zwierzęta w okolicach, gdzie zwykle przebywają, gdyż, jak wspomnieliśmy wyżej trzymają się zawsze licznymi stadami, po parę tysięcy sztuk i nasi myśliwi wytropili je bardzo prędko.

Zaraz też zaczęli się naradzać, jakim sposobem na nie uderzyć? Żaden z naszych młodzieńców nie miał pod tym względem najmniejszego doświadczenia, sami nie wiedzieli, czy lepiej wypuścić najprzód ogary na stado, a potem gonić za uciekającymi zwierzętami, czy też spróbować podstępem zakraść się bliżej. Dwaj przewodnicy nie umieli im w tém poradzić. Antylopy pstrokate nie znane są w ojczyźnie Facetana, od dawna już nie widziano ich w zachodniej części Afryki południowej, a i młodzi osadnicy znali je tylko z opowiadania. Ojcowie ich polowali niegdyś na tę zwierzynę, ale w obecnych czasach, ani antylopa pstrokata ani pokrewna jęj białogłówka, nie przekraczają nigdy rzeki Pomarańczowej.

I Kongo także żadnej z nich nigdy nie widział, chociaż zwierzęta te pojawiają się niekiedy w krajinie Kafrow; nie zdarzyło mu się jednak ani razu na nie polować. Zulus i Buszman nie towarzyszyli nawet młodzieńcom w tej wycieczce, obaj pozostali w obozie, pilnując wozów i wołów.

William sądził, że należało urządzić zasadzkę na antylopy; dwóch lub trzech myśliwych ukrywa się w takim razie z bronią w ręku, a reszta usiłuje napędzić uciekające zwierzęta w tę stronę. Tym sposobem zwykle polują na antylopy skaczące w Afryce, a w Ameryce północnej na jelenie i daniele. Henryk przeciwnie utrzymywał, że lepiej odrazu psy wypuścić i rozpocząć pogoń wspólnymi siłami.

Hans zalecał wielką ostrożność, ażeby nie spłoszyć antylop przedwcześnie, Arend popierał to zdanie, a co do Janka i Klaasa, nikt ich o radę nie pytał. Gdyby tu szło o jakie ptactwo, dwaj malcy byliby się pewnie nieproszeni wmieszali do rozmowy, ale jakkolwiek antylopy pstrokate biegają tak szybko, jakby miały skrzydła, nie są jednakże ptakami.

Zapadło więc w końcu postanowienie, aby cicho i ostrożnie zbliżać się do antylop, które się ukazały w oddaleniu, a gdyby się to nie udało, zawsze był czas zastosować się do rady Henryka i puścić się w pogoń za pierzehajającym stadem. Myśliwi zsiadli z koni i pieszo postępowali dalej, aby uniknąć bystrego wzroku antylop. Mówimy tylko o czterech, gdyż dwaj malcy, Janek i Klaas, pozostali w tyle z końmi i psami.

Stado antylop pasło się na równinie tak rozległej, że zaledwo na samym krańcu widnokregu

można było dopatrzeć pasmo wzgórz; nigdzie nie było wśród łąki, ani drzewka, ani skały, ani najłżejszego wzniesienia gruntu, nawet ziół większych tam brakło, wszędzie porastała tylko niska, jakby skoszona trawa. Na pozór więc zdawało się niepodobieństwem zbliżyć się niepostrzeżenie do czujnych zwierząt. Nawet mniej roztropne stworzenie pierzcha zawsze na widok człowieka, a cóż dopiero antylopa pstrokata, znana z bystrości wzroku i słuchu.

Tu jednak była pewna okoliczność, która dodawała otuchy naszym myśliwym. Na równinie nie było wprawdzie drzew, ani krzaków, lecz o paręset kroków dalej ukazywał się szereg osobliwszych, stożkowatych pagorków, rozmaitej wysokości. Nasypy te miały zwykłą szarawą barwę zeszlętej ziemi, nie znać było na nich żadnego śladu roślinności. Niektóre z nich miały u podstawy otwór niezręcznie wygrzebany, a ten widocznie nie mógł być dziełem tych samych dowcipnych budowniczych, ale wyglądał raczej na podkop nieprzyjaciela. W rzeczy samej owe pagórki były to budowle termitów, a otwory dziełem najdroższych ich prześladowców, mrówkojadów.

Nasypy te nie miały nawet i metra wysokości, ale w innych okolicach Afryki można napotkać budowle termitów, dochodzące wysokości kilku metrów. Są rozmaite gatunki tych przemysłnych owadów, a każde inaczej budują swoje mieszkania: jedne stawiają pagórki pojedyncze, inne znów łączą je dowcipnie pomiędzy sobą, niektóre nadają im kształt walcowaty, inne stożkowaty. Myśliwi nasi mieli właśnie przed sobą mrowiska tego ostatniego rodzaju, budowane przez termyty zwane w języku naukowym *Termes mordax*. najpospolitsze na słonych łąkach Afryki południowej.

Cała ich nadzieja polegała na tych budowlach termitów i z wielką ostrożnością do nich zmierzali, nie spuszczać oczu ze stada antylop. Zwierzęta nie zdawały się na nich zwracać żadnej uwagi i pasły się spokojnie. Gdy jednak młodzieńcy doszli do mrowisk i położywszy się na trawie, zaczęli zręcznie pełzać od jednego pagórka do drugiego, usiłując zbliżyć się do antylop, spostrzegli, że stado oddalało się ciągle od nich, wprawdzie bez zbytniego pośpiechu, ale dziwnym instyktem wiedzione, dążyło w stronę, gdzie się kończyły mrowiska i gdzie na odkrytej równinie niepodobna było się ukryć.

Podstęp na nic się nie przydał, zwierzęta nie okazywały nawet obawy przed niebezpieczeństwem, którego tak zręcznie uniknąć umiały. Nie przestawały się paść, nie odbiegały, lecz trzymały się w tak znacznej odległości od naszych myśliwych, że żaden strzał nie zdołałby ich osiągnąć.

Musieli więc nakoniec zaniechać dalszej pogoni, która do niczego nie mogła doprowadzić. Henryk i William zaczęli sobie żartować z braci, gdy próba obmyślana przez nich się nie udała, obaj powtarzali wzruszając ramionami, że polowanie nie jest tak łatwą rzeczą, jak sobie wyobrażają ludzie niedoświadczeni. Teraz należało z kolei spróbować sposobów, podawanych przez doświadczonych myśliwych, Williama i Henryka.

XXVII.

Dalszy ciąg polowania.

Czterej młodzieńcy powrócili do miejsca, gdzie pozostawili swoje wierzchowce. Najpierw miał być wykonany pomysł Williama. Wszyscy wskoczyli na konie, teraz i dwaj najmłodszy mieli należeć do polowania, włożono na nich obowiązek napędzania stada w stronę strzelców.

Jezdzy puścili się szybko w pogoń za antylopami, które przez ten czas znacznie się oddaliły; spostrzegłszy je z daleka, rozdzielili się, Janek i Klaas skierowali się na lewo, czterej starsi na prawo i podczas gdy malcy popędzili dalej, strzelcy z bronią nabitą przyklekli za kopcami termitów.

Dwaj chłopcy doskonale zrozumieli swoje zadanie, objechali dokoła równinę, aby z przeciwnej strony zabiedz drogę antylopom; udało im się doskonale, nie spłoszyli stada i strzelcy nasi prawie pewni byli powodzenia. Nieraz już podobna sztuka udała im się z antylopami skaczącymi, i teraz więc liczyli na to, że stado ujrawszy przed sobą jeźdźców, zawróci w przeciwną stronę, przybiegnie do kopców, nie przeczuwając zdrady, a wtenczas celne strzały niejedną z nich osiągną i położą na miejscu.

William szczególnie tryumfował, i głośno radość swoją objawiał zawczasu, jego to bowiem pomysł tak pięknie się zapowiadał, chociaż Henryk podawał inny, a zwyciężyć Henryka w sztuce myśliwskiej, to dla naszego grubasa chwała była nielada; pomimo całej swęj siły i zręczności rzadko kiedy mu się to udawało.

Wszystko szło jak z płatka. Strzelcy usadowili się doskonale, Klaas i Janek spełnili zadanie swoje bardzo umiejętnie, dostali się aż na drugą stronę stada, zaczęli się doń zbliżać powoli i z wielką ostrożnością. Antylopy pasły się ciągle spokojnie, postępując w stronę, z której nadjeżdżali dwaj chłopcy, wszyscy byli przekonani, że za chwilę, spostrzegłszy ich, zawrócą w stronę przeciwną i pobiegną prosto na strzały.

— To nie ulega żadnej wątpliwości — powtarzał William — ileż to razy polowałem tak na antylopy skaczące.

Ale antylopy pstrokate niepodobne są wcale do skaczących, nie tylko z powierzchownej postaci, ale i z obyczajów, i William nie mógł przewidzieć, jaki go zawód czekał. Zwierzęta te osobliwszy mają zwyczaj, którym wyróżniają się od całej rodziny antylop i teraz też zachowaniem się swoim w podziwienie wprawiły młodych myśliwych. Zamiast odwrócić się od jeźdźców, uparte te stworzenia zboczyły tylko lekko z drogi i podążyły dalej w tym samym kierunku. Darmo dwaj chłopcy zabiegali raz po raz, usiłując je spłoszyć i zmusić do odwrotu, antylopy wymijały ich tylko z daleka, a pozhywszy się napastników, znowu najspokojniej się pasły. Tym sposobem oddalały się ciągle od zaczajonych na nie strzelców i zdawały się żartować sobie z ich podstępem.

Taki niespodziewany obrót rzeczy do rozpacz doprowadził Williama, towarzysze zaczęli sobie bez ceremonii z niego podżartowywać, a co go najbardziej rozdrażniło, Henryk odezwał się, wzruszając ramionami:

— Byłem na to przygotowany odrazu; trudno było uwierzyć, ażeby takie przebiegłe zwierzęta dały się w pole wyprowadzić dwom malcom, upędzającym się za nimi na kucykach.

William bronił się jak mógł, zaczął też dowodzić, że tym razem jedną tylko popełnili omyłkę, łatwą do naprawienia, gdyż antylopy pstrokate, jak wiadomo, zawsze idą naprzeciw wiatru i należało właśnie dojeżdżaczy ustawić po tej stronie, a strzelców po stronie przeciwniej. Mówił to z wielką pewnością siebie, chociaż znać było, że był wzburzony i gniewny.

— Nic jeszcze niema straconego — rzekł William — spróbujemy teraz rozstawić się inaczej, a jeśli nam się nie powiedzie, zawsze przecież będziemy mogli pójść za światłemi radami pana Henryka.

Te ostatnie wyrazy wymówił z pewną ironią, która rzadko kiedy pojawiała się na ustach poczciwego grubasa. Towarzysze jednogłośnie przystali na powtórzenie próby w odmiennych warunkach, i niezwłocznie rozpoczęli działania.

Jeżeli antylopy pstrokate kierują się zawsze naprzeciwko wiatru, tedy nie ulegało wątpliwości, że strzelcy powinni byli zabiedz im drogę trzymając się kierunku wiatru, a tym sposobem dopiero zwierzyna nadbiegłaby prosto na strzały. Gdyby i tym razem im się nie powiodło, zawsze mieli czas wypuścić psy i urządzić pogoń, jak doradzał Henryk.

Czterej młodzieńcy wsiedli na konie i okrążając znaczną przestrzeń na równinie, stanęli wreszcie po drugiej stronie stada, a tymczasem Klaas

i Janek zajechali od tyłu, zawsze bowiem mieli napędzać zwierzynę. Strzelcy ukryli się znowu za kopcami termitów, których i tu nie brakło i niecierpliwie czekali zbliżenia stada.

Białe główki antylop coraz bliżej migały przed oczyma młodych myśliwych, ręce ich niecierpliwie dotykały cyngla, jeszcze parę chwil tylko, jeszcze chwilką, a już mieli je ujrzyć tuż przed sobą na odległość strzału, gdy wtém nagle antylopy, idące na przedzie, wydały krzyk dziwny, przeraźliwy, i szybko pomknęły naprzód,

— Tém lepiej! — pomyślał każdy z nich, przykładając strzelbę do ramienia — tém lepiej, zaraz tu będą.

— Teraz pokażę, co umiem — szepnął William — teraz ja z was wszystkich zażartuję!

Tymczasem nowy zawód go czekał; antylopy wprawdzie nie zawróciły z drogi, biegły ciągle w tym samym kierunku, ale mijając kopce termitów, tak zręcznie w bok odskakiwały, tak ostrożnie je okrążały z daleka, że nie było sposobu wymierzyć i strzelić do żadnej. William nawet nie odważył się na to, bo czuł, że pudło powiększyłoby tylko upokorzenie jego i odpędziło ostatecznie antylopy.

Całe stado przebiegło przed nosem naszych myśliwych i nie dbając o nich wcale, zaczęło się znowu paść spokojnie w pewnej odległości.

Teraz Henryk tryumfował z kolei; nic nie mówił, ale z pewnością pomyślał w duszy, że on dopiero pokaże, jak to się poluje na antylopy pstrokate.

— Za mną! — zawołał.

Wszyscy nasi myśliwi wskoczyli na koń i ruszyli za antylopami, a gdy podjechali bliżej, wypuścili psy, konie poskoczyły raźniej i rozpoczęła się pogoń. Ogary pędziły jak wicher po błoniach, jeźdźcy nie pozostawali w tyle, a jednak niedługo się łudzili; w kwadrans niespełna spostrzegli wyraźnie, że nie potrafią iść w zawody z antylopami, które ich wyprzedziły ogromnie i co chwila więcej się od nich oddalały.

Hans i Arend najpierwsi zatrzymali zdyszane rumaki, po chwili przyłączył się do nich i William, który dość był zadowolony z tego niepowodzenia, dwaj malcy zawrócili także wkrótce swoje kucyki i stanęli obok starszych braci; jeden tylko Henryk nie chciał dać za wygraną, a może pragnął uniknąć żartów towarzyszy i popędził dalej, za nim pobięły dwa najdzielniejsze psy i wkrótce gromadka myśliwych straciła go z oczu w oddaleniu.

(D. c. n.).

ROZMAITOŚCI.

Zmysłność psa. Opowiemy wam dziś zabawne zdarzenie, za którego prawdziwość ręczymy. Pewien piesek pokojowy, nazwiskiem Karo, jeździł z panią swoją parę razy tramwajem na Pragę. Jednego dnia pani zostawiła go tam w domu swojej matki. Nazajutrz jednak Karo zjawił się z powrotem. Nic w tém jeszcze nie było dziwnego, zmyślnie pieski nieraz i z dalszych daleko okolic powracają do domu. Ale w parę dni później pani kazała służącej, aby go znów na Pragę odprowadziła. Służąca miała iść pieszo, zawołała więc psa za sobą, lecz wyszedłszy z ulicy Chmielnej na Krakowskie Przedmieście, straciła go z oczu; sądziła, że Karo powrócił do domu, poszła więc dalej, nie zważając na to, ale jakież było jej zdziwienie, gdy przyszedłszy na Pragę do matki swój pani, zastała tam psa, który wcześniej od niej przybył na miejsce. Opowiedziano jej, że Karo wyskoczył przed chwilą z tramwaju. Widocznie, dostawszy się na Krakowskie Przedmieście, nie widział potrzeby fatygować się pieszo, kiedy mógł sobie wygodnie pojechać tramwajem. Konduktor nie spostrzegł zapewne tego pasażera, który sobie pozwalał podróżować bez biletu. Od tej pory Karo nieraz już tym samym sposobem jeździł na Pragę i powracał ztamtąd, kroki jego były śledzone, widziano więc, jak dowcipny piesek wskakiwał do tramwaju, oszukując czujność konduktora, który był przekonany, że on towarzyszy panu lub pani, nie żądał więc zapłaty za bilet.

S Z A R A D A (Różia D.).

Pierwszy miasteczko.
Nad Rowem rzeczka,
Śród gór Podola,
Zwane wpierv Rowem.

Lecz później wola
Zygmunta żony,
Królowej Bony,
Gdy je nabyła,
Nazwiskiem nowém
Dawne zmieniła.

Druga i trzecia węgierskim ruczajem,
W takie cudowne zasilonym zdroje,
Że cudzoziemiec, i stary, i młody,

Gdy się napije téj cudownej wody,
Przestaje tęsknić za ojczystym krajem.
W s z y s t k o razem — imię moje.

Łamigłówka głoskowa.

. . . M . . .
. . . J . . .
. . . C . . .
. . . K . . .
. . . J . . .
. . . E . . .
. . . W . . .
. . . J . . .
. . . C . . .
. . . Z . . .

Zastąpić kropki literami tak, aby utworzyć nazwy dziesięciu miast w naszym kraju.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 21-go.

Zagadki przeciwieństwa:

1) Wojna, 2) Aplikant, 3) Rozum, 4) Twardy, 5) Puszcza, 6) Alpha, 7) Łatwy, 8) Anioł, 9) Ciepły, 10) Pismo, 11) Abel, 12) Całość, 13) Agrom, 14) Pan, 15) Alabaster, 16) Cedr, 17) Proces, 18) Artysta, 19) Łoskot, 20) Arak, 21) Ciąsny, 22) Ananas.

Wart Pac pałaca a pałac Paca.

Zadania konikowego:

Od dworaków opuszczona,
Helena w stroju niedbałym,
Gdy syna trzyma u łona,
Co go zwano Leszkiem Białym,
Tak szerzy skargi płaczliwe,
Na swe losy nieszczęśliwe:

* * *

„Ty się śmiejesz, dziecię lubo!
Bo nie znasz twojej niedoli,
Nie znasz spisków na twą zgubę.
Oto z stryja twego woli
Wydarłać państwo niecnota,
A jam wdowa, ty sierota.

(Ze Śpiewów Historycznych Niemcewicza).